Zbigniew Nowicki

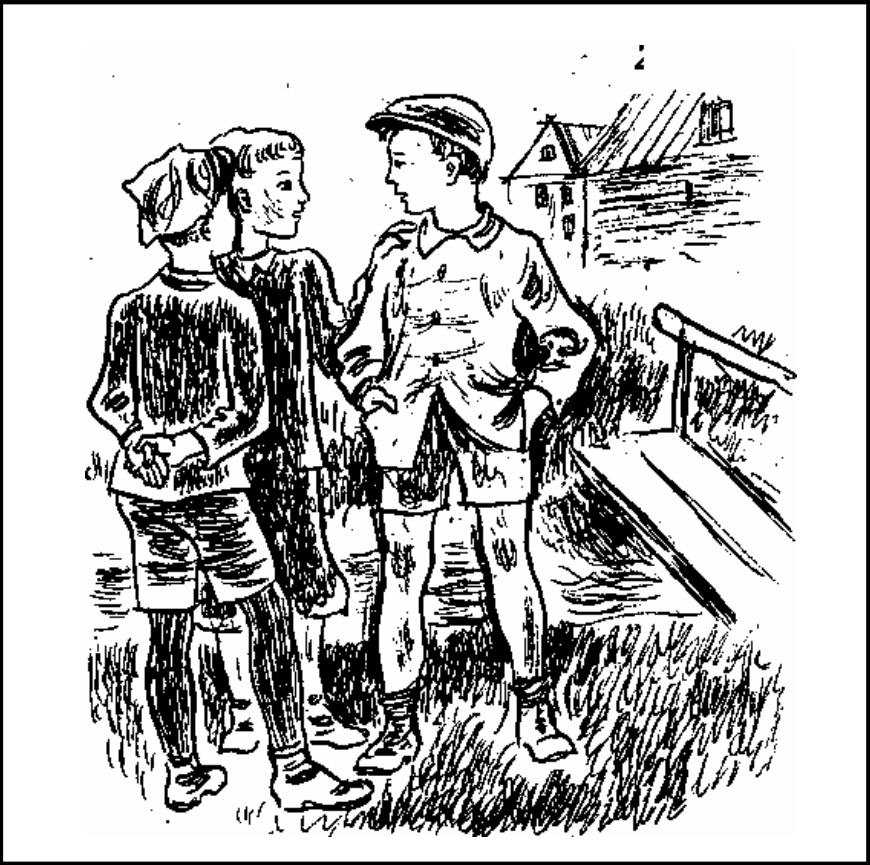

ZWIĄZEK POSZUKIWACZY SKARBÓW

Tytuł: *Związek poszukiwaczy skarbów*
Pierwsza powieść Zbigniewa Nowickiego (później piszącego pod pseudonimem *Nienacki*) drukowana w tygodniku „Przyjaciel" na przełomie lat 1946/47.

Wydanie elektroniczne przeznaczone wyłącznie dla członków internetowego klubu miłośników Zbigniewa Nienackiego (www.nienacki.art.pl)

ROZDZIAŁ I.

Leszek Sikora rozejrzał się po pustym, szarym podwórzu i westchnął głęboko.

— Nic, tylko te zimne mury.

Nigdy jeszcze te domy nie wydawały mu się tak okropne jak w tej chwili właśnie. Od ciemnej czeluści bramy wionęła wilgoć, zmieszana z zapachem jedzenia gotowanego w mieszkaniach. Z pierwszego piętra przez otwarte okno dolatywał gniewny głos pani Magdy Konecznej, praczki łającej zapewne swego syna, Antka.

— Pewnie znowu coś przeskrobał — pomyślał Leszek i gwizdnął tak głośno, że aż gołębie Franka zerwały się z dachu.

Było południe i promienie czerwcowego słońca migotały w szybach. Tu, na dno podwórza nie docierały nawet o tej porze, zatrzymywane przez wysoką, poznaczoną smugami wilgoci ścianę fabryki.

Pod tą ścianą zbierali się zawsze chłopcy, grając całe popołudnia w guziki lub klipę. Za ścianą dudniło coś i monotonnie stukało, a kiedy się przyłożyło ucho, czuło się, że ściana drży.

— Ona jest żywa — twierdził wiecznie umorusany Frydek, najmłodszy syn dozorcy, ale większe chłopaki pokpiwali sobie z niego.

— Żyje, a jakże! Uważaj, bo cię jeszcze zje! — śmiali się.

— Tam jest fabryka, to maszyny tak huczą — wytłumaczył w końcu małemu Jędrek z oficyny — to jest fabryka papieru.

— Byłem w niej już kilka razy — chwalił się przed wszystkimi. Ale nikt go już nie słuchał. Opowiadał im o tym przecież przy każdej sposobności.

Ojciec Jędrka pracuje w tej fabryce i chłopak odwiedza go czasem.

— Żeś był, to wiemy. Lepiej powiedz, jak tam jest — zagadnął Antek.

— No wiecie, tam robią papier — tłumaczył niezręcznie. — Z gałganów i z drzewa.

— Co? Z gałganów, taki śliczny, biały papier? — Chłopcy śmieli się głośno

— Albo z drzewa? Ha, ha, ha!

Tego Jędrkowi było za wiele. Obrażony odszedł do domu.

Na drugi dzień były właśnie Jędrka urodziny i chłopiec otrzymał od matki śliczną książkę „Ukryty skarb". Oczywiście przeczytał ją jednym tchem i opowiedział całą Zośce spod czwartego, ta znowu reszcie dziewczynek i niedługo już dzieci z całej kamienicy wiedziały o Jędrkowej książce.

I wszyscy od razu chcieli ją od niego pożyczyć. Jak to jednak zrobić. Pogniewali się z nim przecież. Dopiero pierwszy Franek gołębiarz podszedł do Jędrka.

— Słuchaj Jędrek, może chcesz mojego „waszwanca" z tych co to się niedawno wylęgły — wyrecytował jednym tchem.

Jędrek grzecznie mu podziękował, bo gołębi nie miał gdzie trzymać. W każdym razie skończyło się na tym, że Franek książkę otrzymał, a później kolejno czytali ją Antek, Zenek i w końcu Leszek. Szedł z nią właśnie teraz i żałował, że była taka krótka.

W końcu jednak machnął ręką. Żeby to tak samemu brać udział w poszukiwaniach, odnaleźć skarb — to rozumiem. Jeszcze raz rozejrzał się po szarym podwórku, na którym na pewno nie było zakopanego skarbu, i ruszył na pierwsze piętro.

Otworzył mu Jędrek.

— Odnosisz mi książkę? Dobra.

Zaprowadził Leszka do pokoju i obaj usiedli na otomanie. Rodzice Jędrka nie byli zamożni, ojciec pracował w fabryce papieru, matka zaś była krawcową. Ale mieszkanie mieli ładne i czyściutkie. Jędrek, jedyny ich syn, miał nawet swój pokój, w którym stała jego własna, mała biblioteka, przedmiot zazdrości wszystkich dzieci z kamienicy.

— No jak, podobała ci się? — pytał Jędrek stawiając książkę na półce.

— Pewnie! Szkoda, że u nas nie ma zakopanego skarbu.

— Skąd tu na ich podwórzu może być skarb? I gdzie? Podwórko było przecież brukowane. W jednym tylko rogu piętrzyła się olbrzymia kupa śmieci. Może tam? E, skąd tam mogło coś być. Co prawda w tamtym roku, kiedy wywożono śmieci, chłopcy znaleźli zardzewiały pistolet, a dziewczęta lalkę bez głowy. Pistolet okazał się tylko zwykłym kapiszonowcem i do tego zepsutym.

— Nie ma mowy o jakichś skarbach.

Jędrek jednak nie żartował. Usiadł obok Leszka i cichym głosem wtajemniczył go we wszystko.

— Wczoraj na lekcji historii — mówił z pałającymi oczyma — pani nauczycielka opowiadała o starych miejskich domach. Więc ja zaraz pomyślałem, że może i nasza kamienica jest stara, no i …

— O, tak nasz dom jest bardzo stary — przerwał mu Leszek. — Sam niedawno słyszałem, jak mój ojciec, który jest przecież dozorcą i najlepiej chyba wie o wszystkim, mówił gospodarzowi, że taki stary dom jak nasz wymaga gruntownej naprawy.

— E, nie po tym się poznaje — uśmiechnął się Jędrek. — Widzisz, stare domy mają „szkarpę".

— A co to takiego? — Leszek nie znał tego wyrazu.

— Szkarpa to jest taki kawałek muru, odstający od kamienicy — tłumaczył mu Jędrek jak umiał, ale Leszek wciąż nie mógł pojąć, co to takiego.

Dopiero kiedy Jędrek narysował mu to wszystko na papierze, zrozumiał.

— U nas w naszym domu jest taki murek! Jest na pewno — krzyczał uradowany.

— Cicho, bo jeszcze kto nas usłyszy — uspakajał go Jędrek — to musi być tajemnica.

— Słuchaj! — Leszek miał pewne wątpliwości — a może to nie żadna szkarpa, tylko zwykły kawałek muru z rozebranych komórek? A zresztą gdyby nawet nasz dom był taki stary, to i co z tego?

— Dlaczego nie dasz mi dokończyć? Wszystko ci opowiem po kolei. To przecież takie łatwe. Widać od razu, że nie chodzisz do piątego oddziału.

Jędrek zawsze okazywał swoją wyższość i to, że był o jedną klasę wyżej od Leszka.

— Czytałeś tyle książek, to powinieneś wiedzieć, że w starych kamienicach są duchy i skarby.

— Duchy? — Leszek aż usta otworzył w zdumieniu. — Duchy? — spojrzał niedowierzająco na Jędrka.

— Tak, duchy. A nie pamiętasz, jak w zeszłym roku poszła Zośka do piwnicy i jak „coś" zgasiło jej świecę. Albo gołębie Frankowi podusiło?

— To była łasica. Na pewno, wiem. Zresztą może, kto wie — Leszek skłonny był uwierzyć. — Więc co z tego?

— Więc my będziemy szukać tego skarbu — powiedział Jędrek. — Założymy Związek Poszukiwaczy Skarbów — podobnie jak to było w tej książce. Tylko pamiętaj: tajemnica! Mamy wielu wrogów! Niejeden będzie chciał odebrać nam skarb. Musimy być ostrożni.

— To się wie. A może weźmiemy jeszcze do naszego Związku Franka? On zna bardzo dobrze tutejsze kąty. Po wszystkich strychach ugania za gołębiami.

— Dobra jest, możesz go wtajemniczyć. Spotkamy się jutro nad rowem koło kładki.

Na drugi dzień trzej chłopcy zebrali się na małej zielonej łączce, wciśniętej między wysoki fabryczny parkan i czerwone budynki farbiarni.

Pośrodku tego placyku płynął śmierdzący strumień, którym spływały wszystkie brudy z farbiarni.

Jędrek, Antek, Franek-gołębiarz, w ogóle wszystkie dzieci z Grabowej ulicy przychodziły tu często. Idąc nad strumień zgadywali na ślepo, jakiego koloru będzie dziś woda. Pewnego razu Franek założył się z Antkiem o scyzoryk i gołębia, że woda będzie czerwona i wygrał zakład. Strumień był caluśki czerwony jak krew.

Ale dziś trzej chłopcy nawet nie spojrzeli na wodę. W głowach uparcie kołowała im myśl o skarbach. Franek, którego Leszek zdążył już wtajemniczyć, zapalił się od razu do projektu Jędrka.

— Musimy wszyscy przybrać nowe nazwiska — mówił rozpromieniony. — Ja będę się nazywał „Czarna Ręka", tak, jak to było w jednej powieści.

— A ja „Krwawy Jaguar” — Leszkowi bardzo się to podobało.

Jędrek wyjął zaraz czystą, kartkę papieru i napisał. Najpierw u góry drukowanymi literami:

„Związek Poszukiwaczy Skarbów”. A potem:

Franciszek Kozial — Czarna Ręka. Sikora Leszek — Krwawy Jaguar, Andrzej Koleba — Herkules.

— Kto to jest ten Herkules? — spytał Franek.

— To wielki bohater. Jak będziecie w piątej klasie, to o nim usłyszycie.

Chłopcy skrzywili się. Ach, ten Jędrek, porządny chłop, tylko wiecznie o tej swojej klasie opowiada.

— Wiesz, Jędrek — odezwał się w końcu Franek — my tu w tym związku jesteśmy równi. Nie ma tego, że ten chodzi do starszej klasy, a ten do młodszej. Dobra?

— Zgoda! — Jędrek zawstydził się trochę. Teraz trzeba wybrać wodza.

— Oczywiście będziemy głosować. Tak się zawsze robi.

Jędrek porozdawał małe karteczki, na których każdy wypisał nazwisko przyszłego wodza

Został nim Jędrek-Herkules. Dostał dwa głosy, sam nie mógł przecie na siebie głosować.

— Zaraz, zaraz — zatrzymał jeszcze chłopców, którzy myśleli, że wszystko już skończone i można iść na poszukiwanie skarbu

— Musimy najpierw rozdzielić pracę. Franek… przepraszam Czarna Ręka zajmie się frontową kamienicą. Ja z Krwawym Jaguarem oficynami — rozkazywał wódz — Pojutrze zejdziemy się tu drugi raz, dowiedzieć się, co kto zrobił?

— Hurra!! — krzyknęli chłopcy z całej piersi.

— Czekajcie, trzeba jeszcze nazwać ten strumień, tu będą się przecież odbywały nasze zebrania.

Wszyscy stuknęli się w czoło. Jakże to, miejsce ich pierwszego zebrania także trzeba upamiętnić.

— Kolorowa rzeka — szepnął cicho Jędrek, i reszcie się ta nazwa spodobała.

— Kolorowa, naprawdę kolorowa. Spojrzeli w wodę śmierdzącego strumienia, który nigdy nie był dla nich śmierdzący, a od dziś stał się rzeką.

Zachodzące słońce łamało w nim swoje promienie przelewające się w wodzie jak szczere płynne złoto, jak ich wymarzony skarb.

ROZDZIAŁ II.

Od pewnego czasu mieszkańcy kamienicy zachodzili w głowę, co też się stało z wiecznie wisusującymi chłopakami.

— Ani ich widać — mówiła gruba dozorczyni, matka Leszka do pani Konecznej.

— Mój Leszek jak przyjdzie ze szkoły, to zaraz leci na pierwsze, do tego Jędrka. Powiada, że tamten pomaga mu w lekcjach. Może tam i pomaga, ale potem to razem z Frankiem we trzech idą gdzieś, takie się zrobili kolegi.

— Może to i lepiej — westchnęła pani Koneczna — nie ma takich wrzasków na podwórzu. Żeby się tak i mój Antek chciał poprawić.

Ale nie tylko starsi zainteresowali się chłopcami. Dziewczyny, a szczególnie Zośka, po prostu umierały z ciekawości, co też te chłopaki robią.

— W szkole to na każdziuteńką pauzę w kącie gdzieś szepcą — skarżyła się Ewce. — Spytać ich o co, to tylko uśmiechną się do siebie i pójdą.

Bo też rzeczywiście chłopcy byli szczęśliwi i zadowoleni. Nic bowiem nie daje tej radości, co przyjaźń i dążenie do wspólnego celu.

Od czasu pierwszego zebrania zżyli się bardzo. Jędrek kiedy dowiedział się, że jego dwaj koledzy nie bardzo stoją z lekcjami, odrabiał z nimi zadania. Wieczorami myszkowali po kamienicy. Co robili jednak przez te długie godziny, tego żadna siła nie potrafiłaby z nich wyciągnąć.

W takich sprawach umieli milczeć jak „mur".

Przeszukali już całą kamienicę, nie natrafiając jednak wbrew oczekiwaniom na żadne ślady, wskazujące na możliwość istnienia skarbu.

— Nie martwmy się — pocieszał Jędrek — tamci z książki też nie od razu odnaleźli tę skrzynkę z papierami.

Tej niedzieli wypadło zebranie. Jędrek i Franek siedzieli już nad strumykiem, kiedy przybiegł do nich zadyszany Leszek z dziwną, wprost niewiarygodną nowiną.

— Słuchajcie! Słyszałem ducha — mówił. — Naprawdę słyszałem ducha.

Chłopcy aż oniemieli ze zdziwienia.

— Gdzie? Gdzieś go widział? — dopytywali się.

— W piwnicy. Szedłem tu do was, kiedy zawołał mnie Frydek. „Chodź no — mówi — tu w piwnicy coś jęczy".

Myślę — głupi smarkacz, znowu coś mu się przewidziało, ale zaglądam przez okienko do piwnicy i słucham.

Rzeczywiście najpierw doszedł mnie cichy pisk. — Szczury — myślę, ale nasłuchuję w dalszym ciągu.

Za chwilę jednak brzęknęły w piwnicy butelki i w promieniu światła padającego z podwórka przebiegł jakiś cień, a później w mroku zamigotało światełko i znowu powtórzył się szelest.

Chłopcom naprawdę nie chciało się wierzyć w opowiadanie Leszka.

— Chodźmy sprawdzić — zaproponował Jędrek i cała trójka wyruszyła na połów owego „ducha".

— Frydkowi powiedziałem, że to szczury tak piszczą, nie chciałem, żeby komuś rozgadał o tym.

— Doskonale.

Niezauważeni przez nikogo chłopcy przemknęli się przez podwórze i stanęli przed drzwiami piwnicy,

Leszek otworzył skrzypiące trochę drzwi piwnicy i gromadka po wąskich schodach zsunęła się w ciemność.

— Możemy się nie obawiać — szepnął Leszek — ojca nie ma w domu, poszedł do kościoła na nieszpory.

W ogóle w całej kamienicy było cichutko. Zmęczeni całotygodniową pracą ludzie dosypiali w niedzielę albo poszli na spacer korzystając z ładnej pogody.

To wszystko było chłopcom bardzo na rękę. Nie lubiono bowiem, kiedy dzieciaki kręciły się po piwnicach.

— Nabrudzicie mi tam jeszcze — krzyczał zawsze dozorca wyganiając je stamtąd.

— Szkoda, że nie wzięliśmy zapałek i świeczki — żałowali teraz.

Rozmawiali po cichu. W ogóle tu w ciemnościach jakby opuściła ich trochę poprzednia odwaga. Na dworze było tak przyjemnie, słonecznie i ciepło, a tu jakoś ponuro i chłodno.

— To jest tu zaraz — zatrzymał ich Leszek.

Z wąskiej gardzieli pełnego drzwiczek korytarza wchodziło się teraz do obszernej komórki, gdzie leżały różne niepotrzebne rupiecie.

Chłopcy zataili na chwilę oddech w piersiach i zaczęli nasłuchiwać.

Przez małe, zakratowane okienko wpadał do piwnicy wąski strumień światła na stertę butelek i jakieś połamane resztki sprzętów.

Nagle coś się poruszyło w ciemnościach. Rozległ się szmer i jakaś czarna sylwetka przesunęła się przed oczyma nasłuchujących.

To „coś" pisnęło tak głośno i wyraźnie, że chłopcy nie zważając jeden na drugiego, runęli do wyjścia, potykając się w ciemnościach.

Zadyszani z bijącymi sercami zatrzymali się dopiero na podwórku.

— A nie mówiłem wam? — triumfował Leszek. — To na pewno duch.

— E, nie chce mi się wierzyć, może to łasica, ta co w tamtym roku tyle gołębi mi nadusiła — zastanawiał się Franek.

— Musimy iść jeszcze raz — oświadczył Jędrek i pobiegł pędem do domu. Po chwili wrócił niosąc elektryczną latarkę.

— Musimy sprawdzić, co to takiego, niech żaden nie waży się uciekać. Nie wolno zapominać, że jesteśmy poszukiwaczami skarbu.

Odważnie weszli w ciemność. Kiedy znaleźli się w miejscu, gdzie przebywał przedmiot ich pierwszego lęku, Jędrek wysunął się trochę naprzód i zamykając oczy w obawie ujrzenia obrzydliwej twarzy domniemanego stracha, zapalił latarkę.

— Kot! — krzyknął nagle Franek. Chłopcy odetchnęli głęboko. Właściwie żal im się zrobiło, że to zwykły kot zakończył tę ich przygodę.

Rozpoczęli teraz szaloną gonitwę, przewracając się o skrzynki i porozrzucane żelaza, za uciekającym zwierzęciem. Przycupili je dopiero w samym rogu za rozbitą beczką.

Z triumfującą miną wyciągnął Leszek za kark małego kociaka.

— Jaki malutki? — dziwił się Jędrek.

— To dlatego nie domyśliliśmy się od razu, że to kot — nie miauczał wcale, tylko tak piszczał. — Musi być bardzo słaby.

Wynieśli swoją „zdobycz" na podwórze ku wielkiemu zdumieniu bawiących się dziewczyn.

— Jaki chudziutki i brudny — roztkliwiały się nad nim. — Skąd go macie?

Ale chłopcy nie raczyli nawet odpowiedzieć.

— Chodźcie do mnie, damy mu mleka — zawołał Jędrek i cała trójka ruszyła na pierwsze piętro.

Mały kociak musiał być mocno głodny, bo z wielką żarłocznością pił podane mu na spodeczku mleko. W końcu Jędrek w obawie, żeby małego nie rozbolał brzuszek, odebrał mu spodeczek.

— Niech sobie teraz pośpi. — Ułożył kociaka na otomanie. Teraz zastanowili się, co z nim zrobić?

— Wezmę go do siebie i będę mu dawał jeść — postanowił Jędrek — mamusia na pewno się na to zgodzi.

Zauważywszy jednak posępne miny reszty, dodał szybko:

— Oczywiście kot jest naszą wspólną własnością, całego Związku. — To jest nasz pierwszy skarb.

— Wiecie, nazwiemy go „Skarbek" — wpadła Frankowi myśl do głowy.

Chłopcom rozjaśniły się miny.

— Nasz wspólny „Skarbek".

Kociak tymczasem nie wiedząc jeszcze nic o swoim nazwisku ani o swych nowych opiekunach, zwinął się w kłębek i mrucząc głośno zasypiał.

ROZDZIAŁ III.

Był upalny, gorący dzień i nad „Kolorową rzeką" unosiły się stada much bzykając złośliwie przed nosami siedzących chłopców.

Nie byli dziś jakoś w humorach. Milcząc wpatrywali się w płynącą pod ich nogami wodę i przeżuwali przykre myśli.

— Właściwie Skarbek jest już naszą własnością — odezwał się wreszcie Leszek.

Chłopcy ożywili się nagle. Ta myśl przecież absorbowała ich przez cały czas, tylko żaden z nich nie chciał się do tego pierwszy przyznać.

Znaleźli kociaka, ale przecież mógł on mieć właściciela, zatrzymać go więc u siebie byłoby nieuczciwością.

— Tak, Skarbek jest już nasz — mówił Jędrek. — Widzicie, dotychczas miałem wątpliwości, czy kot do nas należy i czy mamy prawo zatrzymywać go u siebie. Znaleźliśmy go, ale to nie żaden dowód, że już jest nasz. Bo to by wyglądało, jakbyśmy znaleźli pieniądze i schowali do kieszeni. Najpierw trzeba poszukać właściciela. Otóż powiem wam szczerze… — Jędrek zawahał się chwilę.

— No i co? Mów! — chłopcy zaparli oddech w piersiach.

Teraz ważyły się przecież losy ich „Skarbka".

— Wywiesiłem na bramie naszego domu kartkę, że znaleźliśmy kotka, tak i tak wygląda — jednym tchem, jakby pozbywając się wielkiego ciężaru wyrzucał z siebie Jędrek. — Nikt się po niego nie zgłosił, choć kartka wisi już tydzień. Kociak jest więc nasz.

Wszyscy odetchnęli głęboko.

— Ale dlaczego nam o tym nie powiedziałeś wcześniej?

— Obawiałem się, że nie będziecie chcieli się zgodzić. Zrobiłem więc to sam.

— A ja cały czas tym samym tak się trapiłem — śmiał się głośno Franek. — Z tą kartką to był doskonały pomysł. Ale że też nikt z nas tej kartki nie zauważył.

Przykry nastrój prysnął gdzieś bezpowrotnie. Wydając radosne okrzyki przeskakiwali przez strumień. Wreszcie zmęczywszy się tą bieganiną usiedli z powrotem na trawie.

— W każdym razie wart jesteś Jędrek, żeby ci natrzeć uszu. Tak nie mieć do nas zaufania.

— Więcej się to nie powtórzy — solennie przyrzekał zawstydzony chłopak.

Wzięli się pod ręce i tak trzymając się ruszyli w stronę domu.

Przez cały czas Franek kręcił się niespokojnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie miał odwagi. W końcu jednak przemógł się i zapytał Leszka:

— Spytaj się ojca, czy te rupiecie, które leżą w tej piwnicy, gdzie znaleźliśmy „Skarbka", są mu potrzebne. Bo jak nie, to ja widziałem tam takie deszczułki. Byłby fajny gołębnik.

— Dobrze, spytam — chętnie zgodził się Leszek.

I przed wieczorem przybiegł do nich z wiadomością;

— Ojciec powiada, że możemy wziąć sobie stamtąd, co chcemy, tylko postawił jeden warunek: musimy wyprzątnąć tamtą piwnicę. Wszystkie niepotrzebne rzeczy mamy wyrzucić na śmietnik, a to, co nam się przyda, możemy zabrać dla siebie.

— Zaraz się bierzemy do roboty — uradowali się chłopcy i pobiegli do domów po potrzebne do tej pracy narzędzia.

— Szkła na jedną kupkę układać, szmaty na drugą, a deski i różne rupiecie na trzecią — rozkazywał Franek.

Po dwóch godzinach, umorusani i zakurzeni, skończyli pracę.

— Teraz wszystko na śmietnik — oświadczył Jędrek.

— Co? Na śmietnik? — oburzył się Franek.

— Deski weźmiemy sobie na gołębnik, ale na przykład to szkło — bronił się Jędrek.

— Szkło, szkło — przedrzeźniał go Franek. — Szkło sprzedamy w hucie szklanej, jeszcze dobrze nam za nie zapłacą.

— Racja! — chłopcy stanęli olśnieni pomysłem Franka. — Szkło można sprzedać.

Z kolei krzyknął radośnie Jędrek:

— A szmaty to do tej fabryki sprzedamy, gdzie mój ojciec pracuje.

— Hurra!!!

Załadowali wszystko w worki i wynieśli z piwnicy.

Potem wrócili, zamietli glinianą podłogę, wyrzucili śmieci i całą piwnicę wysypali żółtym piaskiem przyniesionym znad strumienia.

— W porządku, ojciec będzie bardzo zadowolony — z całym przekonaniem powiedział Leszek.

Na drugi dzień Jędrek ledwo tylko wrócił ze szkoły i położył książki na stole, chwycił worek ze szmatami i nie zjadłszy nawet obiadu, pobiegł do fabryki papieru.

Zatrzymał się przed wysoką żelazną bramą, tak jak to mu wczoraj wieczorem ojciec objaśniał, wszedł do portierni i powiedział:

— Przyniosłem towar, szmaty.

— Proszę iść tu na lewo, na podwórko, do wagi — odrzekł mu portier wskazując wyjście.

Jędrek znalazł się teraz na obszernym podwórzu otoczonym ze wszystkich stron murowanymi budynkami.

Nad tym wszystkim wznosił się wysoki, gruby, dymiący komin.

Pod jednym z budynków, gdzie widocznie mieściły się składy, stało kilku takich samych jak on chłopców.

Jędrek skierował się w tamtą stronę i stanął w rządku za kolejką.

Wreszcie przyszła kolej i na niego, położył na wadze worek ze szmatami i czekał.

— Dziesięć kilogramów — powiedział stojący przy wadze robotnik.

Dał Jędrkowi kwit i rozkazał mu iść do kasy po pieniądze. Przyniesione przez niego szmaty wysypano na taczkę i zawieziono do składów.

— Dwadzieścia złotych! — powiedziała kasjerka podając chłopcu pieniądze.

— Tak dużo pieniędzy? — zdziwił się Jędrek. — A to się Franek i Leszek ucieszą, jak im o tym powiem.

Wracał już do domu, kiedy w bramie fabryki spotkał swego ojca.

— Co ty tu robisz? — spytał, a potem widocznie coś sobie przypomniawszy powiedział: — A to ze szmatami przyszedłeś… z tymi, coś mi wczoraj tyle o nich mówił?

— Tak — uśmiechnął się chłopiec — z tymi samymi. Ale, tatusiu, niech tatuś opowie mi, co jest w tym dużym budynku. — Jędrek pamiętając, że ma kolegom opowiedzieć o fabryce papieru, dopytywał się pilnie.

— W tej? Tam jest prasa, walce, które prasują papier na cienkie arkusze. Bo to widzisz tak jest: szmaty najpierw się pierze z wszystkiego brudu, potem gotuje w takim wielkim kotle… o w tym tu budynku z kominem. A potem, kiedy już są rozgotowane na papkę, wylewa się na długie płótna.

Na nich ta papka wysycha, w końcu idzie pod prasę i robią się z niej arkusze…

— A z drzewa też się robi papier?…

— Naturalnie, tylko że to już gorszy gatunek. Najlepszy jest ze szmat… no, ale muszę już iść, bo robota czeka na mnie.

Pan Koleba uściskał syna i poszedł w głąb podwórza.

— Chyba teraz będę mógł chłopakom wszystko powtórzyć — myślał Jędrek idąc do domu.

Wieczorem spotkali się wszyscy chłopcy na podwórku. Okazało się, że maja razem 35 złotych, bo za szkło otrzymał Franek 15 złotych.

— Można za to iść we trójkę do kina — obliczył szybko Leszek.

— Ale do kina nie pójdziemy za te pieniądze — stanowczo zadecydował Jędrek. — A jeśli chcecie, żebym wam powiedział prawdę, to ja wątpię czy je możemy nazwać naszymi.

— Dlaczego to? — zdumieli się chłopcy.

— Przecież mój ojciec powiedział, że możemy zabrać wszystko z piwnicy i w zamian za to wyczyścić ją — zauważył Leszek.

Jędrek jednak stanowczo się z tym nie zgadzał.

— Tak, pozwolił nam zabrać, co chcemy, ale twój ojciec na pewno nie wiedział, że było tam tyle szmat i szkła i że to można było sprzedać! — Skończył i spojrzał na kolegów.

— Hm. — chłopcy byli wyraźnie niepewni.

— To w takim wypadku powinniśmy iść i powiedzieć wszystko dokładnie — zaproponował Franek.

— Właśnie o to mi chodzi. Chodźmy.

Dozorca przyjął chłopców z lekkim uśmiechem w kącikach ust. Musiał być dzisiaj w dobrym humorze i nie krzyknął na nich, tylko do końca wysłuchał ich opowiadania.

— Hm! — mruknął — I powiadacie, żeście mnie przynieśli te pieniądze… no, no — kiwał głową, — Zanim coś powiem, muszę najpierw obejrzeć, jak sprzątnęliście piwnicę.

Wstał ze swego miejsca i poszedł przez podwórko do piwnicy. Chłopcy bardzo zaciekawieni podążyli za nim.

— Ho, ho — dozorca aż cmoknął na znak podziwu — nawet żółtym piaskiem wysypali. No, no. Solidna robota. Takich jak wy to lubię. Pieniądze możecie sobie zabrać! Uczciwie je zarobiliście.

Chłopcy wymachując radośnie rękami wybiegli z piwnicy.

— Te nasze chłopaki to jakoś teraz sporządnieli — mówił potem dozorca do swojej żony. — Nie tylko że nie nabrudzą, ale nawet i pomogą człowiekowi. I jak to z tymi pieniędzmi: zrobili… przynieśli mi oddać…

Długo jeszcze w zdumieniu kiwał głową, a tymczasem nad „Kolorową rzeką" chłopcy zastanawiali się, co zrobić z pieniędzmi?

— Ja myślę — rzekł w końcu Jędrek — że tych pieniędzy teraz na nic lepiej nie przeznaczać. Kiedyś może przydadzą się na co. One będą funduszem naszego Związku.

— Tak, tak. — przytaknął Franek — każdy związek ma przecież własny fundusz, czyli pewną sumę pieniędzy, którą później przeznacza się na różne sprawy związkowe. Więc zgadzacie się? Te pieniądze będą naszym funduszem.

— Zgadzamy się — okrzyknęli jednogłośnie Franek i Leszek.

„Związek Poszukiwaczy Skarbów" miał już swój własny fundusz pieniężny.

ROZDZIAŁ IV.

Jędrek mknął po szerokiej asfaltowej szosie na nowym rowerze. Na bagażniku spoczywała paczka z jedzeniem. Od czasu kiedy dostał rower, była to pierwsza, dłuższa przejażdżka. Mknął tedy niepowstrzymanie naprzód, z boku migały mu pnie drzew, słupy telegraficzne, domy i płoty.

Nie miał określonego celu podróży, chciał być tylko jak najdalej od miasta, od kurzu, jak najdłużej przebywać wśród pól, cieszyć się ich zielenią, wdychać zapach trawy i czuć lekki wiew wiatru i gorące promienie słońca.

Pola stały właśnie w najpiękniejszej swej szacie letniej. Zielone zboża kołysały się od wiatru przypominając do złudzenia toń morską. Nad stawami żółciły się jaskry, z wody dochodziło rechotanie żab.

— Cudnie tu — szeptał upojony tym widokiem chłopiec.

Zmęczony jazdą zatrzymał się na rozstaju dróg pod małą, drewnianą kapliczką.

Z głębi, przez wybitą szybę spoglądała na pola zszarzała od deszczów twarz drewnianej figurki.

Jędrek położył rower na ziemi, a sam spoczął na trawie oparłszy się o podstawę kapliczki. Patrzył teraz na błękitne niebo, na białe jak śmietana obłoczki. Obłoczki płynęły wolno, zmieniały kształt, spływały powoli nad siniejącą w dali smugą lasu.

Jędrek patrzył, patrzył i sam nawet nie wiedział, kiedy oczy zamknęły mu się i ukołysały przez szemrzące zboże zasnął smacznie.

Obudził go dźwięk czyjegoś głosu.

Otworzył oczy i spojrzał przed siebie.

Obok niego wsparty na rowerze stał jakiś pan z aparatem fotograficznym w ręku.

— Dziękuję — uśmiechnął się do siedzącego chłopca — zdjęcie zrobione. — Co prawda w niezbyt kolega ładnej spoczywał pozie, ale to nic nie szkodzi.

Jędrek przetarł zaspane oczy. Zdawało mu się, że jeszcze śpi. Zaraz — co ten pan do niego mówił?

— Aha, to pewnie jest fotograf, zrobił mi zdjęcie — domyślił się. Ale przecież ja nie mam pieniędzy i nie prosiłem go o to.

Ale stojący pan, jakby wiedząc, co chłopiec myśli, powiedział:

— Właściwie to nie robiłem twego zdjęcia, kawalerze, a tylko tej kapliczki i bardzo przepraszam, że umieściłem cię na fotografii, ale naprawdę żal mi cię było budzić.

Pan z aparatem uśmiechał się tak rozbrajająco, że Jędrek, który właściwie nie miał się o co gniewać, także się roześmiał.

— Dlaczego pan zdejmował tę kapliczkę ? — chłopiec nie mógł powstrzymać swojej ciekawości,

— Ta kapliczka mój chłopcze jest zabytkowa — jest bardzo stara — dodał. — Widzisz — nieznajomy usiadł na trawie koło Jędrka. — Chcę wydać książkę o zabytkach wsi polskiej i potrzebne mi są do tego różne fotografie. Ten świątek — nieznajomy wskazał na drewnianą figurkę — może ma z dwieście albo więcej lat.

— To i ja będę w tej pańskiej książce? — dopytywał się Jędrek, którego to w tej chwili najwięcej interesowało.

— Tak, tak, pokażę ci ją kiedy. Oczywiście jak wydrukuję.

Od słowa do słowa, Jędrek dowiedział się, że nowy jego znajomy jest profesorem archeologii, to znaczy zajmuje się wydobywaniem z ziemi śladów dawnej kultury ludzkiej.

— Ho, ho, w ziemi są wielkie skarby, tylko trzeba umieć je wydobywać i zachować — mówił chłopcu.

Wtenczas Jędrek opowiedział mu wszystko o sobie, o ich „Związku poszukiwaczy skarbów", nawet o kocie „Skarbku".

Później żałował tego, bo myślał, że profesor wyśmieje go, ale stało się wprost przeciwnie. Profesor spojrzał chłopcu prosto w oczy, poklepał po plecach i zaprosił go do swojego domu.

— Przyjdź do mnie, kiedy tylko będziesz miał chwilę wolnego czasu, pokażę ci wszystkie swoje zbiory — mówił dając mu swój adres — widzę, że cię takie rzeczy interesują, może kiedyś zostaniesz także profesorem, tak jak ja.

W najlepszej komitywie wracali obaj do miasta. Po drodze umówili się, że któregoś dnia wybiorą się razem rowerami w poszukiwaniu starych wiejskich kapliczek.

— Tu niedaleko widziałem taki ładny kościółek. Musi być stary, bo jest zrobiony z drzewa — przypomniał sobie Jędrek.

— Co ty mówisz? — zainteresował się profesor. — Czy to daleko?

— Rowerem będzie od miasta z godzinę drogi.

— Jutro zaraz tam pojedziemy — postanowił profesor.

Od tego zaczęła się wielka przyjaźń profesora Henryka Jeżewskiego z szóstoklasistą Jędrkiem Kolebą.

Po powrocie z wycieczki zastał chłopiec oczekujący nań list od przyjaciół.

„Kochany Herkulesie" — pisali Franek i Leszek.

Zajechaliśmy do Witowa (bo tak się nazywa wieś, w której mieszkamy) szczęśliwie. Mieszkamy wszyscy w pięknym dworku, za domem zaraz płynie rzeka Warta. Z drugiej strony rośnie duży, świerkowy las.

Nasza pani, ta, która się nami opiekuje na kolonii, daje nam dużo swobody. Cały czas możemy chodzić, gdzie tylko chcemy, lecz nie myśl, że zapomnieliśmy o naszym związku. Jak tylko przyjechaliśmy, od razu rozejrzeliśmy się po okolicy i z radością możemy Ci już donieść, że poczyniliśmy znaczne postępy w poszukiwaniach skarbu. Żebyś jednak wszystko zrozumiał, musimy opisać Ci wszystko po kolei.

Po drugiej stronie rzeki, za niedużym laskiem, znajduje się mały wiejski cmentarzyk, za nim zaś ciągnie się okolica bagnista, pełna dołów i głębokich jarów. To miejsce zowią tu „uroczyskiem", ponieważ jest bardzo niedostępne, dzikie i rzadko kto tam chodzi. Myśmy jeszcze na tym „uroczysku" także nie byli, ale niedługo mamy zamiar wybrać się na nie. Walek, chłopiec ze wsi, którego tu poznaliśmy, opowiada, że na środku „uroczyska" wznosi się kopiec z ziemi, zrobiony jeszcze przez Szwedów, i w nim mają się podobno znajdować ukryte skarby. Ile w tym prawdy, nie wiemy, w każdym bądź razie o naszych poszukiwaniach napiszemy Ci w następnym liście.

Z poważaniem pozostają Czarna Ręka i Krwawy Jaguar.

P. S. Pogłaszcz od nas „Skarbka".

ROZDZIAŁ V.

— Chodźmy już. Jędrek pociągnął Leszka za rękaw.

Odłączyli się od rozbieganej gromady dziewczyn i chłopców kolonii i skręcili w ciernistą, parkową aleję.

— Pójdziemy do naszej altany — zadecydował Jędrek. Tam nie będzie nam nikt przeszkadzał i w spokoju opowiem ci wszystko.

Doszli do zarośniętej wysoką trzciną odnogi rzeki, w wiadomym im miejscu rozchylili zarośla i wsiedli do małej łódeczki.

Łódkę znaleźli w parku, koło piwnicy. Nie należała widocznie do nikogo, była dziurawa i porządnie nadgryziona przez wodę, ale Franek załatał ją i trochę wyremontował, tak, że nadawała się do samotnych wypraw na drugi brzeg. Tam bowiem w gęstym lasku stała stara spróchniała zrujnowana altanka, w której chłopcy zbierali się na narady.

Dawniej, kiedy obydwa brzegi rzeki łączył drewniany most, lasek ten należał jeszcze do dworskiego parku, ale kilka lat temu powódź zarwała most i nie pielęgnowany park zmienił się w dziko rosnący lasek. Pozostały w nim jeszcze ślady dawnej świetności, zarośnięte chwastami ścieżki i alejki, pokruszona gipsowa fontanna i zrujnowana altanka.

Chłopcy wyjechawszy na szeroki nurt rzeki chwilę pozwolili unosić się prądowi, potem jednak wiosłując zawzięcie jedynym wiosłem dobili do brzegu. Łódkę ukryli teraz w szuwarach i sobie tylko znanymi ścieżynkami doszli do altany.

Skrzypnęły cicho drzwiczki trzymające się jeszcze na jednym zawiasie. Chłopcy byli już w środku.

— Uff — sapnął zmęczony Leszek — teraz możesz opowiadać.

— No widzisz — rozpoczął Antek — rano ledwo tylko wstaliśmy pobiegłem od razu do Walka, żeby się dobrze wywiedzieć, jak właściwie idzie się na to „uroczysko". Dowiedziałem się wszystkiego dokładnie, możemy dziś tam pójść.

— Acha — Franek przypomniał sobie coś — Walek mówił, żeby jak będziemy szli lepiej uważać na Rudego Michała.

— A kto to taki?

— To jest taki rudy grabarz, mieszka przy cmentarzu.

— Dlaczego mamy na niego uważać?

— Widzisz — ten Rudy Michał to jest podobno trochę zwariowany, on nie lubi, jak się na to „uroczysko" chodzi. Na wsi boją się go, jak ognia, uważają go za jakiegoś czarownika co trzyma z nieczystymi siłami.

— Ale dlaczego on nie lubi, jak się chodzi na „uroczysko'? — Leszek był bardzo zaciekawiony — Może on pilnuje tych zakopanych tam skarbów?

— E, głupstwa gadasz, jeżeli tam są rzeczywiście jakie skarby i on o nich wie to by ich na pewno nie pilnował, a wykopałby je i sprzedał.

— Może.. — Franek nie bardzo się z tym chciał pogodzić.

— Chodźmy teraz na obiad, a później…

— Na „uroczysko" — dokończył Leszek.

Wymknęli się z altanki, zamykając starannie za sobą drzwiczki i poszli w kierunku dworu.

— Szkoda, że nie wzięliśmy łopaty.

— Teraz będzie nam zbyteczna!

— Najpierw należy zbadać teren — dowodził Leszek,

Szli po zapylonej kurzem wiejskiej drodze, mijając właśnie cmentarz. Byli bardzo podnieceni. Niedługo mieli przecież zobaczyć to miejsce, gdzie podobno znajduje się skarb, ich ciągłe marzenie.

— Uważaj, to jest Rudy Michał! — szepnął Franek wskazując w bok oczami.

Przed małą przylepioną do cmentarnego muru chatką stał jakiś człowiek. Nie był może taki stary, tylko długie rude włosy spadające mu aż do ramion i dziwny wyraz twarzy dodawały całej jego postaci jakiejś posępnej powagi.

— To pewnie z powodu tych jego rudych włosów otrzymał takie przezwisko — domyślili się chłopcy.

Minęli go szybko, pozornie nie zwracając na niego uwagi i za cmentarzem skręcili na wąską ścieżkę wiodącą na „uroczysko".

Zdążyli spostrzec, że Rudy Michał stojąc nieruchomo pilnie się im przyglądał, póki nie zniknęli za najbliższym wzgórzem.

— To bardzo niedobrze, że zobaczył nas idących tu — zasępił się Franek.

— Może nie jest znów taki straszny, jak o nim na wsi mówią — pocieszał go Leszek, ale obaj mieli zepsuty humor.

Ścieżka stawała się coraz mniej widoczna pod zielenią wysokich traw, aż wreszcie znikła zupełnie i chłopcy posuwali się teraz według

wskazówek Walka. Grunt stawał się coraz bardziej podmokły, zarośnięty gęstymi krzakami.

— Nikt tu chyba nie przychodzi — zauważył Leszek.

Niekoszona, wysoka trawa kładła się na ziemi, wysokie grube drzewa rzucały na nią cień. Oprócz szelestu liści nie było tu słychać żadnego głosu. Chłopcy starali się mówić jak najciszej, jakby bojąc się zakłócić posępny spokój „uroczyska". Ominęli głęboki jar napełniony wodą i weszli na niedużą polankę.

— O patrz! — Franek wydał okrzyk zdziwienia.

Na środku pokrytej różnokolorowymi kwiatami polanie wznosił się wysoki kopiec ziemi. Trudno było odgadnąć, czy usypały go ręce ludzkie czy też stworzyła go sama przyroda. Jeśli nawet zrobili go ludzie to chyba bardzo dawno, ze wszystkich stron, porosły go już krzaki i młode drzewka. Po całej polanie leżały porozrzucane olbrzymie głazy, formując jak gdyby wielki kwadrat.

— Może tu była kiedyś przed wiekami świątynia pogańska — mówił Leszek obchodząc pagórek.

— Ale gdzie może być ten skarb? — nie wytrzymał Franek. Przecież to go najwięcej interesowało.

— Jeżeli tylko tu jest, to prawdopodobnie w tym wzgórzu. Trzeba by zacząć kopać od góry. Dziś w nocy musimy zakraść się do dworskiej piwnicy i wyciągnąć trochę narzędzi — powiedział Leszek.

— Tak, trzeba będzie zabrać łopaty i oskard, bo ziemia może tu być bardzo zbita i twarda.

— Narzędzia wyciągniemy w nocy i przeniesiemy do naszej altanki, a na drugą noc przyjdziemy tu kopać!

— Co? W nocy mam tu przyjść? — Franek miał przerażoną minę. — Przecież można to samo zrobić w dzień.

— W dzień… — przedrzeźniał go Leszek — i Rudy Michał przyjdzie, skarb nam odbierze. Może nas jeszcze zbić i wygonić stąd!

— Hm, może i masz rację, ale w nocy to trochę straszno — Franek nie chciał przyznać się przed Leszkiem, że się po prostu boi.

— Głuptas jesteś, nie ma się czego bać, będziemy przecież we dwóch — uspakajał Leszek. — A teraz chodźmy już, bo spóźnimy się na kolację i dostaniemy od pani burę.

Rzeczywiście słońce już zachodziło, i czerwone jego promienie zaglądały na polankę, ustępując powoli miejsca kryjącemu się już gdzie nie gdzie mrokowi.

* * *

Tej nocy zmęczona całodziennym spacerem po łąkach Teresa Zagierska nie mogła jakoś usnąć. W głowie snuły się jej obrazy pól, cudnej szemrzącej rzeki. Chciała, żeby to już znów był dzień i żeby mogła znów wybiec na spacer. Pierwszy raz była na wsi, nie więc dziwnego, że nie mogła się nią nacieszyć.

Teresa miała już piętnaście lat, ale, jak na swój wiek, słabo była rozwinięta fizycznie. Cóż, ojciec jej tkacz fabryczny nie zarabiał tyle, żeby móc przed wojną wysłać ją na wieś, w czasie wojny nie mogło być o tym mowy i dopiero teraz, kiedy te straszne chwile minęły wyjechała na kolonie, na pierwsze w jej życiu kolonie letnie.

Skrzypnęły drzwi. To odeszła pani sprawdzająca w sypialniach czy wszyscy już śpią.

Teresa zamknęła oczy próbując zasnąć. Z boku z sąsiednich łóżek, gdzie spały inne dziewczynki dochodził równy ich oddech.

— Śpią — stwierdziła i przekręciła się na drugi bok.

W całym dworze panowała zupełna cisza, zmącona czasem szelestem drzew rosnących za oknem. Nagle rozległ się skrzyp otwieranego okna i do uszu leżącej doszedł szept rozmowy prowadzonej w sąsiednim pokoju, gdzie była sypialnia chłopców.

Co to? Rozmowa umilkła, a za oknem zaszeleścił żwir pod czyimiś nogami. Teresa wyskoczyła szybko z łóżka i podeszła do okna. Za oknami w srebrnej poświacie księżyca stały ciche uśpione drzewa. Teresa rozpłaszczała nos na szybie chcąc zobaczyć co się dzieje w parku.

Przed oczami mignęły jej nagle dwa jakieś cienie. Wytężyła wzrok. Po żwirowej alejce szli dwaj chłopcy. Dziewczynka o mało nie krzyknęła. Poznała idących. To Leszek i Franek, ci dwaj co to ich przezywają „odludki", bo ciągle gdzieś chodzą sami i nigdy nie chcą się z innymi bawić.

— Ale po co oni idą, teraz w nocy? — zaciekawiła się bardzo.

Dwaj chłopcy skręcili w bok w stronę dworskich piwnic.

— Pójdę zobaczyć!

Prędko wdziała na siebie sukienkę, otworzyła cichutko okno i wyskoczyła na dwór.

Dogoniła chłopców koło piwnicy.

— Dokąd idziecie?

Odwrócili się do niej gwałtownie, bardzo przestraszeni.

— E… my… tak sobie…

— Na spacer… — tłumaczył się niezręcznie Franek.

— Po coś wyszła? — Leszek zbliżył się do Teresy. — Wracaj na-

tychmiast! Idź, powiedz pani, że wyszliśmy — powiedział ze złością.

— Wcale nie mam zamiaru powiedzieć komuś, nie jestem taka papla — oburzyła się na nich. — Chciałam tylko dowiedzieć się po co idziecie, mogłabym wam w czymś pomóc.

Leszek spojrzał niepewnie na Franka. Co robić? Odkryła ich nocną wyprawę, lepiej może rzeczywiście powiedzieć jej o wszystkim.

— Mogłabym wam pomóc! — powtórzyła Teresa.

— Co ona tam będzie mogła pomóc, takie chuchro. Zresztą może…

Chłopcy spojrzeli na siebie. Franek skinął głową.

Usiedli razem na mokrej od nocnej rosy trawie i Leszek rozpoczął opowiadanie. Mówił o ich związku, o „Skarbku" wreszcie jak znaleźli „uroczysko" i, że teraz przyszli po narzędzia, a na następną noc idą po skarb.

— Doskonale! — Tereska klasnęła radośnie w dłonie. — Idę z wami, będę trzymała wam latarkę, a wy spokojnie będziecie mogli kopać. Całe życie marzyłam o takiej przygodzie.

— A nie będziesz się bała?

— Skąd. Nigdy niczego się nie bałam. Chłopcom zaimponowała ta dziewczyna, co w przeciwieństwie do swoich koleżanek, była taka odważna,

— Dobrze, możesz pójść z nami — za decydował Leszek. — Tylko pamiętaj nikomu ani pary z ust.

— To się wie — łobuzersko uśmiechnęła się Teresa.

— Czekaj chwilkę na nas, pójdziemy teraz po łopaty i oskard.

Przez zrujnowane okienko wsunęli się do dworskiej piwnicy. Inaczej była zbudowana niż piwnice w mieście. Zbudowana z pustaków obsypana była ze wszystkich stron grubą warstwą ziemi. Leszek zapalił przygotowaną przedtem świeczkę i zaczęli myszkować.

Od czasu kiedy dwór został rozparcelowany, to znaczy ziemia należąca do dworu rozdana między biednych rolników, a zabudowania przeznaczone dla kolonii miejskich dzieci, piwnica nie była już nikomu potrzebna. Pokryte grubą warstwą kurzu walały się w niej teraz połamane ośki wozów, szczerbate brony, zardzewiały pług i wreszcie ku wielkiej radości chłopców pod stertą żelastwa znaleźli łopaty.

— Wezmę tę sztabkę żelazną, może przydać się — dla obrony.

— Z kim się chcesz bić? — Leszek nie był wojowniczo nastawiony.

— To w razie jakiegoś wypadku. Mogą nas w nocy napaść psy.

— Zresztą — powiedziała szeptem Teresa — gdybyśmy znaleźli skarb, to lepiej być uzbrojonym.

— Ty, Teresa, idź już spać, a my sami zaniesiemy narzędzia do altanki — rozkazał Leszek. — Pamiętaj o przyszłej nocy.

Teresa posłusznie wróciła do domu i położyła się spać. W myślach powtórzyła sobie rozmowę z chłopcami. Może naprawdę odkryjemy skarby o wtenczas na pewno będzie co roku wyjeżdżać na letnisko. Będzie bogata.

O długo, długo w noc nie spała jeszcze marząc o tym co miała przynieść jutrzejsza noc.

Słyszała skrzyp okna, kiedy wrócili Franek i Leszek i dopiero wtedy spokojnie usnęła.

ROZDZIAŁ VI.

— Szkoda, że nie ma z nami teraz Jędrka Koleby — żałował Leszek.

— To ten wódz waszego związku? — spytała Teresa — Mnie też przyjmiecie chyba na waszego członka?

— O, to się jeszcze zobaczy. Nie możemy nic decydować bez porozumienia się z wodzem.

Dziewczynka nadąsała się.

— Trudno, przecierpię jakoś. Ostrożnie, bo stłuczesz lampkę! — ostrzegła Franka, który potknął się właśnie na jakimś wystającym korzeniu. — Z ledwością wydostałam ją z kuchni, a ty gotowy jesteś stłuc ją. Dopiero bym miała za swoje.

Wstrząsnęła się namyśl o awanturze, jaka by się dostała w razie takiego wypadku. Wzięła ją na domiar złego bez pozwolenia pani wychowawczyni.

— Czy czasem chłopcy nie zauważyli, jak żeśmy wychodzili przez okno — obawiał się Franek — zdawało mi się, że któryś się obudził.

— Nie bój się, żaden z nich nas nie wyda, choćby i spostrzegł naszą nieobecność.

— Ciiicho! — syknął nagle Leszek. — Tu zaraz jest chałupa Rudego Michała.

Umilkli, żadnemu z nich nie uśmiechało się spotkanie z nim. Franka na samo wspomnienie jego posępnej twarzy przechodziły dreszcze. Zobaczyć go teraz?

— Brr — wstrząsnął się. — Uciekł bym chyba — myślał.

— Ciiicho! — syknął znowu Leszek.

Nachylił się do nich i szepnął zduszonym z wrażenia głosem.

— U Rudego nie pali się światło. Ostrożnie, może być gdzieś w pobliżu.

Chata samotnego grabarza w dzień nawet nie robiła przyjemnego wrażenia, co dopiero w nocy. Księżyc jeszcze nie wszedł i cała trójka pod osłoną ciemności przekradała się koło cmentarza.

Lekki wiaterek zaszeleścił wśród cmentarnych drzew. Jakiś stary, widocznie nadłamany, krzyż zaskrzypiał koszmarnie. Franek oglądał

się bojaźliwie na wszystkie strony. Uff, kiedy to się wreszcie skończy? Kiedy przejdą obok tego posępnego miejsca?

Leszek szczególną uwagę zwrócił na chałupę Michała. A nuż stary zauważy ich… zacznie śledzić, a kiedy zobaczy, że znaleźli skarb… Bał się przed samym sobą w myślach wymówić ten wyraz… zamorduje!

Mrowie przebiegło mu po plecach i w palcach ściskających kurczowo żelazny drążek, poczuł dziwny chłód.

— Nie, nie damy się. — Szczęki zwarły mu się w gniewnym skurczu.

Wtem aż zdrętwiał cały. Czyżby przywidzenie? Zdawało mu się, że wśród stłoczonych za murem cmentarnych krzyży coś się poruszyło.

Trwało to jeden moment, ale Leszek był pewien, że odróżnił od nich bladą twarz i długie włosy.

Tam stał Michał. Na pewno ich zauważył i dlatego się ukrył.

Może lepiej powiedzieć o tym Frankowi i Teresie? Wrócić do dworu i nie narażać się.

A może to tylko zwykłe przywidzenie, na co więc próżny alarm? Leszek wahał się co właściwie zrobić.

Nie powiedział jednak nic o swoich obawach, ale do końca wyprawy był niespokojny i stale oglądał się na wszystkie strony.

Jego podniecona strachem wyobraźnia malowała przed nim straszne obrazy, wszędzie za każdym szeleszczącym krzakiem widział chłopiec twarz Rudego Michała,

Wzeszedł właśnie księżyc oświetlając bladym światłem okolice. „Uroczysko" wyglądało teraz jeszcze bardziej ponuro i groźnie. Grube, sękate drzewa przybierały kształty jakichś groźnych potworów, grząskie bajorka wody z przeglądającym się w nich księżycem przypominały ogromne złowrogie oczy.

Trójka poszukiwaczy zatrzymała się wreszcie na polanie z kopcem.

— Teraz do pracy! — powiedział Leszek i wbił łopatę w ziemię.

W milczeniu wzięli się do pracy.

— Najpierw trzeba wyciąć na szczycie wszystkie krzaki — zarządził Leszek.

Teresa próbowała zapalić latarkę, ale czy to z powodu wiatru, czy za bardzo drżały jej ręce, zapałka stale gasła.

— Daj, ja to, zrobię! — zniecierpliwił się Leszek.

Wziął pudełko zapałek, latarkę, odkręcił naftowy knot i zapalił go.

Specjalnie długo trzymał w ręku zapalona zapałkę, żeby tym dwojgu pokazać, że nie drży wcale i nie boi się niczego.

Spokój Leszka istotnie podziałał na wszystkich kojąco.

— Czego się tam obawiać — pomyślał Franek i żywo zaczął wyrywać rękami mniejsze krzaki.

Kiedy już oczyścili, wzięli się chłopcy do rozkopywania wzgórza. Właściwie nie chcieli całej góry rozkopać, na to nie wystarczyło by im siły i czasu, a tylko wykopać korytarz, którym można by się było dostać do środka wzgórza, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa znajduje się skarb.

Chłopcy pracowali w milczeniu. W nocnej ciszy, słychać było tylko szelest wysypywanej ziemi i zgrzyt żelaznej łopaty trafiającej na kamień.

Leszek oglądał się często w bok, gdzie poza jasnym kręgiem latarki trzymanej przez Teresę, czernił się mrok nocy. Czego tam szukał? Czyżby jeszcze obawiał się Michała? Na te pytania sam sobie nie potrafił odpowiedzieć, w każdym razie nic nie wskazywało na to, że przypuszczenia jego mają się sprawdzić. Rudego Michała nie spostrzegł w ciemnościach.

— O, patrzcie! — łopata Franka o mało się nie złamała, natrafiając na głaz. —Kamień zagradza nam drogę!

— Trzeba go będzie dookoła okopać i wyciągnąć — zadecydował Leszek.

— Zobaczcie, jaki on jest płaski! — zauważyła Teresa.

Rzeczywiście, kamień był zupełnie płaski, o kształcie prostokątnym. Zupełnie jakby był wykuty.

— Trzeba go będzie podważyć łopatą, bo rękami nie damy rady.

Podsadzili łopatę i naprężyli mięśnie chcąc go ruszyć z miejsca.

Trrrach! Drewniana rączka łopaty złamała się i chłopcy upadli na ziemię .

— Za cienki drążek — powiedziała Teresa — musicie wziąć drugi.

— Tak, ale teraz i ty nam pomożesz, sami nie damy rady. Powieś latarkę na gałęzi!

— No! Razem!

Naprężyli muskuły z całych sił, popychając ciężki głaz. Pot zalewał im oczy.

— Jeszcze raz! Razem — komenderował Leszek.

Uff! Kamień odsunął się kawałek, ukazując pod sobą czarną jamę.

Cofnęli się przerażeni.

Teresa pochyliła się z latarnią nad otworem.

Na dnie jamy leżał szkielet ludzki.

Pierwszy ochłonął Leszek.

— A tośmy wpadli! No! Tu jest przecież mogiła!

— Tak, ale w mogile także mogą być skarby. Odsuńmy jeszcze bardziej kamień i zajrzyjmy głębiej — zaproponowała Teresa.

— Ja tam nie wejdę! — na samą myśl, że ma jeszcze raz zajrzeć w puste oczodoły szkieletu robiło się Frankowi niedobrze.

— Jak chcesz! — zadecydowała Teresa. — Chodź, Leszek zrobimy to sami bez tego tchórza. Być tak blisko upragnionego celu i nie dojść do końca to byłaby największa głupota. Trzeba koniecznie sprawdzić może tam w mogile jeszcze coś się znajduje. Chodźmy! Franek ociężale złaził za nimi.

Nazwała go tchórzem. Nie, on się przecież nie boi… Pokaże Teresie, że on, Franek, jest od niej odważniejszy.

— To tylko tak z początku — myślał. — Ten szkielet jest taki okropny.

Z wysiłkiem odsunęli dalej kamień i zajrzeli do wnętrza mogiły. Obok szkieletu leżały jakieś przedmioty.

— O, patrzcie, tam leży miecz! — wykrzyknął Leszek wskazując palcem podłużny przedmiot.

— Wiecie, to musi być grób z bardzo dawnych czasów — mówiła Teresa. — Patrzcie, tu leżą jakieś gliniane garnki, tam miecz. O, nawet naramienniki. Trzeba będzie to wszystko wyjąć i zabrać do dworu, tam mam taką jedną książkę „O wykopaliskach z dawnych wieków" w niej właśnie są różne rysunki takich właśnie rzeczy. Porównamy je ze znalezionymi przez nas.

— To myślisz, że ten grób jest taki stary?

— Naturalnie, ma może z tysiąc lat! Spójrz tylko na te gliniane naczynia, czytałeś przecież „Starą baśń" to powinieneś wiedzieć, że to są urny.

— Tak, ale w urnach chowano popiół ze spalonego ciała, a tu jest szkielet.

— Tego już nie wiem — przyznała się Terasa — przeczytamy już jutro w tej mojej książce, a tymczasem niech który z was wejdzie do mogiły i wszystko wyjmie.

— Szkielet także? — Leszek udał naiwnego.

— Nie, to może zostać! — roześmiała się dziewczynka.

Żaden z nich nie kwapił się jednak zejść w dół w sąsiedztwo leżącego szkieletu. Chłopcy oglądali się wzajemnie na siebie, który z nich spełni tę przykrą dla nich czynność.

— No, co, boicie się? — spojrzała na nich Teresa. — Może chcecie, żebym ja, dziewczyna pokazała wam co to jest odwaga?

To momentalnie poskutkowało. Obaj chłopcy, jak na komendę skoczyli w dół.

Grób nie był głęboki, wyłożony płaskimi kamieniami, polepionymi gliną, przez długie może wieki chował w swym wnętrzu zwłoki jakiegoś wojownika.

— Tu na pewno kiedyś — Teresa rozejrzała się po oblanym księżycowym światłem „uroczysku" — odbywał się jego pogrzeb. Płaczki głośno zawodziły, kiedy kondukt pogrzebowy zbliżał się na to miejsce, żona jego na pewno rozpaczała, sypiąc popiół na swe włosy — wyobrażała sobie.

A może gdzieś tu w pobliżu rozgrywała się bitwa, szczękały miecze, słychać było wojenne okrzyki… i tu na tym polu padł ów rycerz, którego biały szkielet przed nimi teraz leży?

Kto to może wiedzieć?… może szumią o tym te grube drzewa i ten blady księżyc mógłby coś o tamtych czasach powiedzieć…

Tak samo świecił i przed lat tysiącem i widział z góry całe życie tego człowieka, jak widzi ich teraz…

Teresa zadumała się chwilę, ale głos chłopców przywołał ją do rzeczywistości.

— Teresa! Teresa! — wołali z dołu — weź od nas rzeczy!

— Masz, tu jest miecz, to naramiennik, a to naczynia gliniane.

— A co to jest? — Teresa obejrzała jakiś lekki przedmiot. — To musi być ozdoba wyrobiona z kości — zadecydowała w końcu.

— No, już wynieśliśmy wszystko — Leszek rozejrzał się raz ostatni po mogile i wyskoczył na wierzch. — Musimy zakryć teraz z powrotem grób.

— Trzeba będzie założyć go darnią, żeby nikt nie zwrócił uwagi, że było tu kopane — postanowił Franek.

— A teraz do altany, tam ukryjemy wszystkie znalezione rzeczy — zawołała Teresa, kiedy już skończyli pracę.

Wzięli przedmioty z mogiły i gęsiego poszli w stronę rzeki.

Dopiero teraz mijając uśpiony cmentarz i chatę samotnego grabarza przypomnieli sobie Rudego Michała — lęk ścisnął im serca.

— Eee — Leszek machnął ręką na wspomnienie dawnych groźnych przypuszczeń. — Musiało mi się przedtem przywidzieć, że go widziałem.

Łódką ukrytą w trzcinie, przepłynęli rzekę i weszli do zrujnowanej altany.

— Schowamy to w tym rogu, pod deskami — zadecydował Leszek.

— Na wierzch rzucę jeszcze liści, wtedy nikt na pewno tego nie znajdzie — Franek przyniósł z parku naręcze zeschłych liści i gałęzi.

— Uuuu — ziewnął Leszek — ale będę dziś mocno spał, nie dobudzą się mnie chyba rano.

— Niewiele czasu ci pozostanie na to spanie — zaśmiała się Teresa. — Niedługo świtać zacznie. Calutką noc spędziliśmy na „uroczysku".

Rzeczywiście na wschodzie niebo już różowiało.

— Fiii! — gwizdnął Franek — teraz się nie dziwię dlaczego tak mi się chce spać. Zaraz po śniadaniu przychodzę do parku i śpię jak zabity.

— Jutro napiszę list do Jędrka — powiedział Leszek, kiedy wracali łódką do dworu — Muszę mu donieść o wszystkim. Niech opowie temu profesorowi archeologii, o którym tyle nam pisał.

— Doskonały pomysł — Leszek aż klasnął w ręce. — Przecież my zupełnie nie wiemy co z nimi zrobić. Niech nam poradzi.

— Może oddać je do muzeum? — zauważyła Teresa. — Będą stały w oszklonej szafce z napisem: „Przedmioty pochodzące z przedhistorycznego grobu znalezione przez takich to i takich w Witowie.

Chłopcom rozbłysły oczy.

— Powiadasz, że mogliby wziąć je nawet do muzeum? —Leszkowi nie chciało się wprost wierzyć.

— Może daliby nam jakąś nagrodę — powiedział rozmarzony tym przypuszczeniem Franek.

— E, ty to tylko byś myślał o pieniądzach, albo o nagrodach — strofował go Leszek.

— Ja chciałem tak dla nas, żebyśmy mieli wszyscy…

Na drugie wakacje pojechalibyśmy razem z Jędrkiem, — bąknął zawstydzony Franek — może byśmy też tak drugi grób znaleźli, albo… skarb.

— Szkoda że Jędrek nie może do nas przyjechać — westchnął Leszek. — Jako wódz naszego związku powinien wszystko na miejscu sam zobaczyć.

— To byłoby dobrze — powiedziała milcząca dotąd Teresa — moglibyście mnie wtenczas przyjąć na członka „Związku poszukiwaczy skarbów".

— Chłopaki z kolonii dopiero będą zazdrościć, jak się dowiedzą, że myśmy znaleźli tę mogiłę — snuł dalej marzenia Franek.

Teresa jednak sprzeciwiała się takiemu załatwieniu tej sprawy.

— Lepiej nie mówić o tym nikomu. Ani słowa. Lepiej być ostrożnym. Niewiadomo jeszcze co może być — mówiła.

Leszek się z tym chętnie zgodził.

— Tak będzie najlepiej — powiedział — może się później okazać, że te wszystkie przedmioty niewiele są warte i narazimy się tylko na wstyd.

Sam jednak co innego myślał, inny miał powód, żeby nikomu o mogile nie mówić.

A nuż Rudy Michał pójdzie na „uroczysko" i zauważy odkryty grób? Od razu będzie wiedział kto tam był, widział ich przedtem — widzieli, jak tam szli. Lepiej niech nie wie, że coś w grobie znaleźli!

Nikomu jednak nie zdradził swoich przypuszczeń.

ROZDZIAŁ VII.

Jędrek Koleba patrzył w twarz profesora Jeżewskiego, na której w miarę odczytywania listu odbijało się zaciekawienie, zdumienie i radość.

— Hm — mruczał coś do siebie. — Mogiła… szkielet… gliniane naczynia, różne przedmioty, których przeznaczenia dobrze nie znamy.

— No i co? — Jędrek rzucił mu pytające spojrzenie.

— Jedziemy.

Pan Henryk odłożył list.

— Zobaczymy, może rzeczywiście Twoi przyjaciele odnaleźli przedhistoryczny grób. Trzeba to na miejscu sprawdzić. Wszystkie dane, jakie mi tu w liście podali wskazują na to, że jest to cenne wykopalisko. Jutro jedziemy! — Zadecydował nagle. — Ty oczywiście ze mną. — Zamieszkamy razem we wsi… Nie obawiaj się, na kolej mam pieniądze — roześmiał się, zauważywszy niepewną minę chłopca.

— O nie, dziękuję! — Jędrek wyprostował się dumnie. — Ja mam pieniądze! Nasz Związek rozporządza własnymi funduszami.

— Bardzo się z tego cieszę, że Związek wasz ma własne pieniądze, ale tym razem z nich nie skorzystasz. Pojedziesz ze mną i na mój koszt. Koniec! Bez żadnego ale! — przerwał próbującemu zaprzeczyć Jędrkowi. — Od dziś ja Tobie rozkazuję. Idź teraz na pocztę i nadaj do Witowa depeszę, że jutro bezwarunkowo przyjeżdżamy. Jak wrócisz, pójdziemy obaj do Twoich rodziców. Powinni przecież wiedzieć, kto ich syna bierze na czas podróży pod opiekę.

— Mogą się nie zgodzić, kiedy zobaczą, że to ja. — Pan Henryk zrobił zmartwioną minę.

Roześmiali się obaj.

— Teraz lecę na pocztę! — Jędrek chwycił czapkę i wybiegł z mieszkania.

— Jutro już zobaczę się z nimi… — radośnie podskakiwał na chodniku. Pan Henryk to „byczy" chłop.

— Hurra!!! — wykrzyknął tak głośno, że aż przechodnie obejrzeli się za nim i wpadł do urzędu pocztowego.

* * *

Długi głos gongu wołającego na kolację zbudził śpiących w parku chłopców.

Od czasu nocnej wyprawy na „uroczysko" minęły już cztery dni, a jednak nic się nie zmieniło. Znalezione w mogile przedmioty spoczywały w altanie, oczekując ukryte na przyjazd Jędrka i profesora. Franek, Leszek i Teresa nudzili się teraz. W upalne, gorące dni chodzi się razem kąpać nad rzekę, albo na dalekie spacery w las, a w słotę w świetlicy czytali książki.

Dziś gorąco słonecznego dnia dało się im dobrze we znaki, zmęczeni spacerem położyli się w cienistym parku i nie wiedząc kiedy usnęli.

— Kolacja! — krzyknął Leszek i ziewnął tak potężnie, że zdawało się mógłby połknąć słonia.

— Kolacja! — szarpnął śpiącego jeszcze Franka. — Wstawaj śpiochu!

Leniwie przeciągając członki poszli ścieżką do dworu. Nie zdążyli jednak jeszcze dojść, kiedy spotkali idącą naprzeciw nich Teresę.

— Depesza! Depesza! — dziewczynka machała radośnie białą kartką papieru. — Pani mi ją oddała — mówiła — to dla was.

Leszek rozerwał prędko depeszę i na głos przeczytał: „Ja i profesor jutro przyjeżdżamy. Jędrek".

— No nareszcie — wszyscy odetchnęli.

— Jutro tu już będą — Franek z radości na ścieżce tańczył. — Jutro dowie my się wszystkiego o naszym wykopalisku.

— Tak — Leszek poważnie skinął głową — jutro już będziemy wiedzieć, czy nasze odkrycie jest wartościowe, czy nie. Tymczasem chodźcie prędzej na kolację. Już jest na stole.

Wieczorem trójka poszukiwaczy zebrała się w kątku świetlicy, naradzając się w związku z przyjazdem Jędrka i pana Jeżewskiego.

— Mieszkanie wynajmiemy im na wsi — zdecydował Leszek. — Ty Teresa zajmiesz się tym!

— Ja ci pomogę! — zaproponował Franek. Znam kilku ze wsi gospodarzy, to może u nich znajdziemy jakąś izbę dla profesora.

— Dobrze, jutro rano pójdziemy na wieś — postanowiła Teresa — Którym tylko oni przyjadą pociągiem…

Nagle umilkła i na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

Zdziwieni chłopcy spojrzeli w okno, gdzie padał wzrok dziewczyny. Nic jednak tam nie zauważyli. Na dworze była noc i przez szyby zaglądały ciemne sylwetki drzew.

— Co ci się stało? — pytali zdumieni.

— Tam w oknie… na szybie… — mówiła bezładnie Teresa. — Taka straszna twarz… O Boże!

Zakryła twarz rękami.

— Widziałam wyraźnie okropną twarz i takie długie włosy… Och nie chciałabym drugi raz tego zobaczyć…

W głosie dziewczyny brzmiało wielkie przerażenie.

— Myśmy nic nie widzieli — zauważył Franek.

— Bo to trwało tylko jeden moment… Powiadam wam… straszne… Teresa wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić. Franek nie chciał wierzyć.

— Zdawało ci się chyba… To pewnie liść spadający przylepił się na chwilę do szyby, a tobie zaraz się wydawało…

— A może któryś z chłopców, albo dziewczyn z kolonii zajrzał przez okno — wtrącił milczący dotąd Leszek.

— Na pewno — podchwycił Franek.

— Może. — Teresa skłonna była uwierzyć, w to całkiem słuszne zresztą przypuszczenie. — Tylko tamta twarz taka okropna…

— Przez szybę tak się zawsze zdaje. Uspokoili się, ale rozmowa teraz jakoś nie kleiła się im.

Leszek postał trochę przy nich, a potem szybko wyszedł z pokoju. Obszedł na około dom i w pewnym momencie zdawało mu się, że słyszy szelest oddalających się kroków. Stanął i słuchał tłumiąc w sobie przyśpieszona tętno serca. Tak, na pewno ktoś uciekał! O, wyraźnie teraz doszedł go trzask złamanej gdzieś daleko gałązki. Ale gonić go już było za późno.

— Musiałem go swym nadejściem spłoszyć — myślał chłopiec — a szkoda, ciekawym kto to był?

Podszedł teraz pod okno świetlicy. Na ładnie zagrabionej rabatce zauważył dwa głębokie ślady nóg.

— Bosy musiał być ten ktoś — zauważył przyjrzawszy się bliżej śladom.

Więc jednak Teresa miała rację, ktoś zaglądał przez okno. W jakim jednak celu? Dlaczego uciekał, kiedy usłyszał kroki nadchodzącego? — na to Leszek nie umiał odpowiedzieć.

Długie włosy… Przypominał sobie co mówiła im Teresa. Długie włosy… bose nogi… To przecież z czymś się mu od razu kojarzyło.

— Rudy Michał! Rudy Michał!

— Prawda, on przecież chodzi boso ma takie długie rude włosy. Rudy Michał. Leszek czuł, jak znów mu po plecach przechodzą mrówki strachu.

— Czego on tu chciał? Śledził ich widocznie… chciał widocznie zobaczyć, czy jesteśmy we dworze… ale dlaczego?…

Nagle chłopiec, jak oszalały rzucił się w stronę piwnicy. Chciał zobaczyć, czy są w domu, a potem iść i zabrać z altany znalezione przez nich przedmioty!

Myśl ta tak go rozwścieczyła, że pobiegł do piwnicy i zabrał stamtąd długi żelazny drążek i biegiem ruszył nad rzekę.

— Uf! odsapnął na brzegu i rozchylił sitowie. Łódki nie było! Puste miejsce i wygniecione trzciny, to tylko po niej pozostało.

— A więc i to jeszcze wiedział Rudy Michał! O ich łódce! Przejechał pewnie teraz na drugą stronę do altany, po ich skarby!

Jak oszalały kręcił się po pustym wybrzeżu, nie wiedząc co ze sobą zrobić.

Zawiadomić Franka, Teresę było już za późno… tu każda minuta droga.

Michał może uciec z przedmiotami i co wtedy… nie odda im ich nigdy.

Bez chwili namysłu Leszek rozebrał się i wziąwszy żelazny drążek, bez lęku zanurzył się w zimną toń rzeki. Na środku wartki nurt pochwycił go i starał się zepchnąć w bok, ale chłopiec płynął wytrwale naprzód nie wydając przy tym najmniejszego plusku.

Pływał dobrze i szybko. Jeszcze w mieście razem z innymi chłopcami chodzili nad stawy uczyć się pływać i w krótkim dość czasie dostał się na drugi brzeg i nie zważając na zimno, pobiegł do altany. Biegł szybko, nie zważając, że gałęzie krzaków boleśnie chłoszczą jego mokre od kąpieli ciało. Przed altaną zatrzymał się chwilę.

— Trzeba być ostrożnym! Na mnie teraz spoczywa cały ciężar uratowania przedmiotów! — powstrzymał się.

Stąpając leciutko, na palcach podkradał się do drzwi i nadsłuchiwał. Z wnętrza jednak nie dochodził żaden głos, czy szelest zwiastujący pobyt Rudego Michała. Nie namyślając się długo, choć serce biło mu przyśpieszonym rytmem, gwałtownie otworzył spróchniałe drzwi i wszedł do wnętrza. Altana była pusta.

Skoczył w sam róg i począł rozgrzebywać stertę suchych liści. Pod palcami wyczuł ręką twardość leżących przedmiotów. Odetchnął uspokojony, ale dla większej pewności wyciągnął je na wierzch i przeliczył. Były wszystkie, nic nie zginęło. Ukrył je z powrotem i wyszedł z altany. — Pewnie się omyliłem — myślał, idąc w drogę powrotną. — Tu w altanie nie było Rudego… czy to w ogóle był on — zaczynał powątpiewać w swoje dawne przypuszczenie.

— Hm, ale kogo w takim razie Teresa widziała w oknie? Czyje ślady widniały na rabatce? Kto ukradł łódkę? O niej przecież nikt oprócz ich trójki nie wiedział… Kradzież łódki to niezbity dowód, że ktoś kręcił się po parku.

Wolno przepływał rzekę, na brzegu ubrał się w pozostawione przedtem ubranie, cały czas myśląc o tych dziwnych, tajemniczych wypadkach.

— Dla pewności sprawdzę jeszcze sitowia… Może łódka odpłynęła gdzieś dalej — postanowił.

Mozolnie, grzęznąc co chwila w mule, przeszukał na próżno cały brzeg. Łódki nie było. Ktoś widocznie musiał ją skraść.

— Co teraz robić? — chwilę namyślał się, a potem pobiegł do dworu. — Muszę wszystkich zawiadomić!

We dworze wszyscy już spali i Leszek przeląkł się czy zastanie otwarte okno. W porządku! Jedno z nich było leciutko odchylone, widocznie Franek zauważywszy jego nieobecność nie zamknął okna.

Nie zdążył jednak jeszcze wdrapać się na górę, kiedy okno otworzyło się szeroko i na parapecie ukazał się Franek.

— Co? Co się stało? Dlaczego tak późno wracasz? — dopytywał się szeptem.

Leszek w odpowiedzi tajemniczo potrząsnął głową.

— Zejdź na dół, coś ci powiem!

— Ktoś ukradł nam łódkę… — powiedział. Wtedy Franek zeskoczył na ziemię.

— Łódkę? — Chłopcu nie chciało się wierzyć.

— Chodź, zobaczysz!

Prześcigając się wzajemnie pobiegli nad rzekę. Leszek odchylił sitowia i Franek wybuchnął nagle śmiechem. Od tego śmiechu, aż trząsł się cały i łzy ściekały mu po policzkach.

Łódka spokojnie spoczywała, ukryta na dawnym miejscu w zaroślach.

Leszek zrobił głupią minę. Czyżbym oślepł? — pytał się zdumiony, przecież byłem tu dwa razy… przeszukałem cały brzeg…

— Ha! Ha! Ha! — Franek przewracał się z radości po trawie. Ktoś ukradł łódkę… — Ha! Ha! Nie wytrzymam chyba ze śmiechu, łódkę taką starą, jeszcze do tego dziurawą… Na co by to komu było potrzebne?…

Leszek zawstydzony usiadł na trawie… Podniósł się… wszedł do łódki i wziął do ręki wiosło.

— Co tam znowu szukasz? — śmiał się Franek, śledząc zachowanie się przyjaciela.

— Zobacz, wiosło jest mokre, a przecież dzisiaj nie jeździliśmy wcale… może ty…

— Nie, ja także nie jeździłem. Leszek opowiedział mu całą dzisiejszą historię, zwierzając się ze swoich podejrzeń.

— Nic nie wiadomo — stwierdził w końcu Franek — w każdym razie łódką dziś ktoś jeździł i to nie my.

— To wiemy na pewno!

ROZDZIAŁ VIII.

— Hm! — profesor Jeżewski oglądał z uwagą leżące przed nim przedmioty z mogiły.

— Pochodzą one z okresu brązu — powiedział w końcu.

— A czy one są wartościowe? — dopytywała się Teresa.

— Naturalnie, ale tylko dla nauki, szczególnie, kiedy wojna zniszczyła większą część muzeów takie właśnie okazy mają dużą wartość.

— To one pójdą do muzeów?

— Sam je zawiozę. A teraz chodźmy, muszę jeszcze zrobić fotografię znalezionego przez was grobu.

Wyszli z chałupy, w której na czas przyjazdu do Witowa, wynajęli dla Jędrka i profesora mieszkanie i skierowali się na „Uroczysko".

— Jaki to jest ten okres brązu ? — Jędrek Koleba był z natury bardzo ciekawy, nic więc dziwnego, że i teraz nie mógł pozostawić pana Henryka w spokoju.

— To pewien okres czasu, bardzo dawno, kilka tysięcy lat temu, ludzie wtedy nauczyli się wytapiać brąz i robić z niego różne przedmioty.

Po drodze przyłączył się do idących Walek, przysłuchując się słowom pana, który zamieszkał w chałupie jego ojca.

— To jest chata Rudego Michała — Franek, kiedy przechodzili koło cmentarza, wskazał Jędrkowi. Chłopiec skinął potakująco głową. Zdążyli już mu opowiedzieć o wszystkich swoich trwogach i przygodach, toteż zupełnie dobrze wiedział, co znaczył dla nich ten samotny grabarz.

Teraz idąc przy profesorze podśmiewali się trochę z dawnego ich strachu. Teraz wszystko wyglądało inaczej, spokojnie. Na podwórku krzątał się Michał, zauważywszy idących wszedł szybko do domu.

— Ukrył się przed nami — myślał Leszek, — Musi być bardzo zły, że myśmy odnaleźli grób na uroczysku. No, ale musiał mieć zdumioną minę, kiedy zauważył, co zrobiliśmy na uroczysku… i że przedmioty wyciągnęliśmy z mogiły. — Uśmiechnął się na samą myśl o tym.

— Tak, to jest grób szkieletowy!

Profesor zrobił zdjęcie otwartej mogiły.

— Takich grobów jak ten, zawierających szczątki dawnych wojowników, jest bardzo dużo rozsianych po całej Polsce. Większa jednak z nich część nie dostaje się we właściwe ręce. Ludzie nie znają się na tym i mogiły takie po odkryciu zamiast być zachowywane, ulegają przeważnie zniszczeniu. Dlatego dziękuję wam bardzo, że swoim odkryciem wzbogaciliście nasze polskie muzea.

— To jest grób szkieletowy — objaśniał dalej profesor — są jeszcze inne, w których zamiast szkieletu zmarłego, znajdują się urny z jego spalonymi szczątkami. Te gliniane naczynia znalezione przez was w grobie, to są garnki z jedzeniem, pozostawione przy umarłym. Dawniej bowiem wierzono, że dusza człowieka po śmierci także musi się odżywiać.

— Ach tak! Przypominam sobie! — zawołała nagle Teresa — czytałam to przecież w „Starej Baśni" jak dawniej w dzień poświęcony zmarłym, ludzie szli na cmentarze z jedzeniem dla zmarłych.

— Zupełnie słusznie, takie były zwyczaje dawnych Słowian — potwierdził profesor.

Nagle krzaki zarastające polankę rozchyliły się i wyjrzała z nich twarz Rudego Michała, a później i on sam wyszedł. Podpierając się sękatym kijem podszedł do chłopców i grubym chropowatym głosem zapytał:

— Kto wam pozwolił tu kopać! Co?

Chłopcy zmieszali się. Nikt im przecież nie pozwolił tu kopać. Sami to zrobili bez niczyjej wiedzy.

— …To „uroczysko" do nikogo nie należy, nikogo więc nie potrzebowaliśmy się pytać… — niezręcznie tłumaczył Leszek.

Michał w odpowiedzi gniewnie stuknął o ziemię laską.

— … Mnie, mnie… Ja tu tego pilnowałem!

Wskazał końcem laski rozkopaną mogiłę.

— Kto wam pozwolił… — tu były skarby, wyście je wzięli…

— Tu nie było żadnych skarbów — wtrącił się pan Henryk. — Proszę, to są przedmioty, które znaleźliśmy w mogile — pokazał Michałowi gliniane naczynia i wyroby z brązu. — Te rzeczy mogą mieć wartość tylko dla nauki! Zresztą „uroczysko" jest niczyje, każdy ma prawo prowadzić tu poszukiwania. Michał potrząsnął głową.

— Kiedy, jeszcze przed wojną, jeden profesor z Warszawy jak tu był we dworze, kazał mi tego pilnować. Mówił, ze tu są cenne skarby i on przyjedzie tu i odkopie je. Zapłacił mi nawet za pilnowanie, ale później była wojna i do tego czasu jeszcze go nie było… Co to zresztą za skarby… z gliny jakieś garnki i żelastwo — skrzywił się pogardliwie.

— Ja też jestem profesorem — powiedział mu pan Henryk. — Te przedmioty są wartościowe, ale tylko dla nauki. Dla was one nic nie znaczą i nikt od was by tego nie kupił.

— I ja tego tak pilnowałem… nikomu nie dałem się tu kręcić. — Rudy Michał z żalem trząsł głową. Był bardzo rozczarowany.

— Nie martwcie się, za pilnowanie na pewno dostaniecie jakąś nagrodę, już ja się o to postaram.

Pan Henryk zrobił jeszcze jedną fotografię i cała gromadka wraz z Rudym Michałem ruszyła w stronę wsi.

— Niedługo kończą się już kolonie, wrócimy z powrotem do miasta, do szkoły — westchnął Franek.

— Będziemy mieli co opowiadać — Teresa myślała już o zdziwieniu i zazdrości koleżanek, kiedy opowie im o wakacyjnych przygodach.

— Jak będziecie odjeżdżać — wtrącił się nagle milczący dotąd Walek — to zostawcie mi tę łódkę. Dziurawa, bo dziurawa, ale można jeszcze jeździć.

— Dobrze! Bardzo chętnie — zgodzili się chłopcy, którym w mieście łódka nie była do niczego potrzebna.

Leszek odciągnął na chwilę na bok Walka i ostro zapytał:

— To ty wczoraj w nocy jeździłeś naszą łódką? Mów prawdę!

Walek zmieszał się i zawstydzony wyszeptał:

— Tak, ja. Jechali ze wsi wczoraj łowić ryby. Ja też chciałem z nimi, ale nie miałem łódki…

— No i co? — dopytywał się Leszek.

— Poszedłem do dworu, do was. Byliście już w środku w tym dużym pokoju, chciałem się was zapytać, ale wstydziłem się wchodzić do środka. Myślałem, że wam wczoraj łódka nie była potrzebna… i zabrałem — Alem jej przecie nie zepsuł i odstawiłem na miejsce.

— No nic… na drugi raz bez pytania nie bierz łódki — powiedział Leszek.

On jeden wiedział tylko ile przez Walka użył strachu i jakie miał podejrzenia na niewinnego Michała.

* * *

Był ciepły letni wieczór. Jeden z tych ostatnich letnich wieczorów, po których nastąpią inne, pełne szarugi jesiennej.

Nad budynkami farbiarni z wysokiego komina snuł się leniwie w spokojnym powietrzu czarny dym. Płynął powoli, najpierw nisko nad ziemią, potem unosił się w górę i ginął pod ozłoconym promieniami błękitem nieba.

Profesor Jeżewski w otoczeniu małej gromadki, Teresy, Franka, Jędrka i Leszka, szedł pogrążony w rozmowie na spacer za miasto. Był to już ostatni ich spacer, jutro kończyły się wakacje, zaczynało się nowe szkolne życie i związane z nim nowe radości i troski. Jędrek odbiegł od idących, stanął nad brzegiem małego strumienia i krzyknął:

— Patrzcie! Woda dziś jest niebieska! Wszystkim od razu zrobiło się dziwnie radośnie. Sami nie wiedzieli dlaczego kilka tych słów potrafiło wywołać w ich myśli szereg cudnych wspomnień.

To jest przecież ich „kolorowa rzeka"… Tu, jeszcze — zdawało im się — niedawno założyli swój związek. Tu, w tym miejscu powstały ich marzenia o skarbach, tu był początek ich przyjaźni i wspólnie przeżytych przygód. Znalezienie kotka, kolonie, nocne ucieczki przez okno, nocna wyprawa na uroczysko… — wszystko to teraz przesuwało się zupełnie wyraziście przed ich oczami. A potem przyjazd Jędrka i profesora. No i Michał, Rudy Michał, samotny grabarz z cmentarza. Dziwnie, na prawdę dziwnie zakończyła się ta ich przygoda. Ten zacięty wróg, przeszkoda, którą musieli wciąż zwalczać okazała się tylko sumiennym starcem, któremu kazano pilnować ukrytego „skarbu".

A skarb? Ich wymarzony skarb także okazał się w innej niespodziewanej formie…

— Tu założyliśmy nasz związek — Jędrek wskazał małą łączkę, wciśniętą między wysoki parkan fabryczny i budynki farbiarni. Mówił im o tym, przypominał chociaż wszyscy dobrze wiedzieli, a jednak teraz z takim zainteresowaniem spoglądali na to pamiętne miejsce.

— Stąd wyruszyliśmy na poszukiwanie skarbu… i właściwie nie znaleźliśmy go, — powiedział cicho jakby tylko do siebie Leszek, ale wszyscy wyraźnie usłyszeli jego słowa.

— Tak, nie znaleźliście go — pan Henryk skinął głową — ale znaleźliście coś innego: przyjaźń. I jeszcze — dokonaliście ciekawego odkrycia.

— Idziecie do szkoły — mówił dalej — będziecie znów się uczyć, może, z was który zostanie, tak jak ja archeologiem, inny doktorem, adwokatem. Musicie jednak wiedzieć, że zdobyć wiedzę i móc dzielić się nią z innymi to jest największy skarb i szczęście, które człowiek może posiąść.

Wszyscy milczeli, zasłuchani w prawdziwą treść tych jego słów. Milczeli, bowiem czuli w tej chwili, że zdolni są sięgnąć po ten wielki skarb, odkryć go… dla innych ludzi.

Nadchodził zmierzch, po nim przyjdzie znów noc, a w końcu czekał ich srebrny szczęśliwy świt.

Cicho szemrała woda w śmierdzącym strumieniu. Zachodzące słońce łamało w nim swoje promienie przelewające się w wodzie, jak szczere, płynne złoto.

KONIEC